

PIĘTRO

NADWYRĘŻONYCH
SERC



ANTEK
PARZYCHOWSKI



PIĘTRO
NADWYRĘŻONYCH
SERC

ANTEK
PARZYCHOWSKI

Copyright © Antek Parzychowski

Copyright © Ostre Pióro

Wydanie I

Szczecin 2026

ISBN (druk): 978-83-68498-59-2

ISBN (e-book): 978-83-68498-60-8

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Redaktor prowadząca

Monika Calka | www.kropkaispolka.pl

Ilustracja na okładce i projekt okładki

Ewa Popławska

Elementy graficzne

Magnific.com

Redakcja

Dagmara Jaszcak-Bartosik

Korekta

Katarzyna Kurowska | stacjaprojekt.my.canva.site

Magdalena Dziekan | www.magdadziekan.com

Projekt typograficzny, skład i łamanie

Katarzyna Serebin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl



Wydawnictwo

Ostre Pióro

www.ostre-pioro.pl

*Dla Antka, który potrzebował pokochać szpital,
oraz dla jego babci, która musiała posklejać roztrzaskane serce*

REGINA

1.

NIESAMOTNOŚĆ BEZ POTWORA

Samotność to pojęcie względne. Według definicji dostępnej w Internecie to stan odczuwania izolacji społecznej i poczucie odcięcia od innych. Ale czy ludzie sami ją wybierają czy są przez nią zagarniani? Ha, no właśnie!

W przestrzeni krąży wiele twarzy samotności, które przycho-
dzą w najróżniejszych momentach naszego życia. Może być nagle,
spowodowana czyjąś stratą. Powolna, wkradająca się do najgłębszych zakamarków duszy, otwierana kluczem choroby psychicznej, najczęściej depresji. Zdarza się też tymczasowa, niezbędna do naładowania baterii społecznej po całym dniu spędzonym wśród ludzi. I ostatnia, z wyboru, bo indywidualizm wydaje się dużo bardziej pociągający od narażania się na bezustanne spełnianie czyichś oczekiwań, pragnień, marzeń...

Ja krążyłam gdzieś między samotnością a niesamotnością. Miałam sześćdziesiąt cztery lata i nie czułam się ani samotna, ani niesamotna.

Nie śmiałam narzekać na brak rozmów. Miałam dużą rodzinę, która odwiedzała mnie regularnie. Świąt Bożego Narodzenia nie spędzałam na stołówce wśród innych samotnych seniorów pozostających pod opieką fundacji charytatywnej. Bliscy dzwonili, chcieli się łączyć na jakichś kamerkach. Zupełnie nie byłam w stanie przyswoić tej wiedzy, mimo że mój wnuczek Mateusz wielokrotnie instruował mnie, jak z tego korzystać, gdy widywa-
liśmy się na cotygodniowych obiadach.

Starość rządzi się swoimi prawami i sądziłam, że nie muszę gonić za technologicznymi nowinkami. Już wystarczy, że zaopatrzyłam się w dotykowy telefon BEZ KLAWIATURY. Figurowałam w sieci jako staruszka z aktywnym kontem na Facebooku, a Mateusz ostatnio namówił mnie, żebym zainstalowała także TikToka. Nie do końca rozumiałam, jaki jest cel tej aplikacji. Ale według poleceń wnuka naciskałam w odpowiednią ikonkę na wyświetlaczu, kiedy tylko w telewizji następował przestój ciekawych seriali, zakorkowany masą programów informacyjnych. Oglądałam śmieszne filmiki, dopóki ponownie nie rozpoczęła się emisja reality show wartego mojej uwagi. Treści na TikToku nie przewyższały elokwencji programów w telewizji i co rusz nawiedzały mnie znane twarze z polityki. Musiałam wysłuchiwać ich podniosłych tyrad albo niezgrabnych wpadek. Za to w wiadomościach najczęściej nadawali to samo, więc byłabym hipokrytką, gdybym miała coś przeciwko.

Mateusz powiedział mi ostatnio, że powinnam zacząć nagrywać filmiki, komentując oczami emerytki to, co dzieje się w świecie polityki. Kazałam mu się pukać w czoło i zająć się nagrywaniem własnych wideo. Po pierwsze, prezentowałam się mało wygłędnie i byłam nefotogeniczna. Obawiałam się, że na widok mojej suchoty i zmarchoty Internet mógłby usunąć TikToka. A po drugie, niewątpliwie, lepiej odnajdowałam się w roli wspierającej babci, natarczywie lajkującej nagrania swojego wnuka.

Mateusz śpiewał nad wyraz pięknie. Byłam przekonana, że sam fakt bycia jego babcią nie ujmował mojej obiektywności. Choć gdyby faktycznie śpiewał nieco gorzej, dla mnie i tak miałby najpiękniejszy głos na świecie, lepszy nawet od Górniak czy Cugowskiego. Zawsze starałam się wstukać palcem wskazującym kilka ciepłych słów pod jego najnowsze wykonanie. Twierdził, że im więcej wpisów uzyska, tym lepiej dla jego zasięgów czy jakoś tak... Zdawałam sobie sprawę, że w tych nieciekawych czasach, pełnych przesytu i nijakości, trudno jest wyjść przed

szereg i wyróżnić się na tle tłumu. Ale ja wiedziałam, że Mateuszowi kiedyś się uda i niebawem ujrzę go na festiwalu w Opolu albo w Sopocie... Ach, jak bardzo byłabym wtedy szczęśliwa! I jak głośno krzyczałabym, siedząc na trybunach razem z Anetą, jego matką. Z pewnością nie pozwoliłabym na przepuszczenie takiej sposobności, a podziwianie sukcesu Mateuszka z perspektywy kanapowego widza nie wchodziłoby w grę – ząb czasu nie zeskrobał jeszcze do cna mojej żywotności.

Wracając do samotności i niesamotności... Kiedyś kochałam całą sobą. Żywiłam się wówczas niezbitym przekonaniem, że samotność zapłonie nad moją głową tylko wtedy, gdy ukochana osoba uśnie na wieki. Ale pomyliłam się, bo ona odeszła ode mnie, wciąż żyjąc. A kawałek mojego serca odszedł wraz z nią...

Potem poznałam mojego męża, ojca Anety. Był okrutnym partnerem. Bił mnie, poniżał, zakazywał pracować. Nie chcę wspominać, że pił, bo to sztamkowy i oklepany motyw, regularnie godzący w większość mężczyzn urodzonych przed dwutyśiecznym, ale takie właśnie były fakty. Pił i spraszał do naszego domu kolegów, pijacków spod lokalnego sklepiku. Z początku ich sporadyczne spotkania w naszym salonie nie dostrzegałam znamion choroby alkoholowej. Nawet przez pewien czas starałam się przemykać oczy, kiedy koledzy mojego męża wychodzili, a on ledwo słał się na nogach. Nie obchodziły mnie jego procentowe inklinacje. Dbałam jedynie o to, żeby siedmioletnia Aneta siedziała zamknięta w swoim pokoju i bawiła się ulubionymi lalkami. Zależało mi tylko na tym, aby nie słyszała.

Pokornie oporządzałam mojego męża. Myłam go, parzyłam mu ciepłą herbatę i kładłam do łóżka. Wcześniej zdarzyło mu się naznaczyć moją skórę aktem własnej brutalności. Mimo to głęboko zakorzeniona powinność nakazywała mi pozostawać posłuszną żoną i lepić nasze życie na kształt właściwego. Nie mogłam pozwolić na wykwitnięcie kolejnego siniaka, żeby Aneta niczego nie zaczęła podejrzywać.

Sytuacja uległa zmianie pewnego wieczoru, kiedy córka zaprosiła na noc dwie koleżanki z klasy. Dzień wcześniej poprosiłam męża, żeby ten jeden raz wstrzymał się z alkoholowymi libacjami i, jeśli musi, spędził ten wieczór u jednego ze znajomych. Jednak on mnie nie posłuchał. Alkohol zawładnął jego umysłem tak silnie, że przysłonił mu priorytety – uczucia do własnego dziecka. Nie zważał na Anetę ani na jej potrzeby... Nie zauważył, że zaprosiła rówieśniczki pierwszy raz od wielu miesięcy. Liczyła pewnie, że na jeden wieczór będzie w stanie zapomnieć o duszącej atmosferze panującej w naszym domu. Nie pozwolił jej na to...

Jak zwykle przybył do domu z włóczęgowskim elementem, liczniejszym niż zazwyczaj. Byłam przerażona. Świadoma faktu, że na górze nasza córka bawi się ze swoimi koleżankami, musiałam coś zrobić. Wiedziałam, że nie mogę dopuścić do sytuacji, w której Aneta będzie się wstydzić tego, w jakim domu żyje. Wstydziłaby się przecież nas... Wstydziłaby się mnie.

Poprosiłam męża, żeby przeniósł imprezę na dół. Zapewniałam, że na bieżąco będę im donosić zimny alkohol. Nie zgodził się, twierdząc, że to nie melina, żeby siedzieć z kolegami w śmierdzącej piwnicy. Rozsiedli się wygodnie i, jak co wieczór, zaczęli opróżniać pierwszą butelkę wódki. Pomyślałam, że jeśli będą zachowywać się względnie cicho, Aneta i jej koleżanki nie będą chciały schodzić na dół, do salonu. Rzeczywiście było w miarę spokojnie. Stęchłe powietrze przelewało się bezszelestnie przez szpary między ścianami, więznąc na parterze, w zużytych kieliszkach i w żrenicach lśniących rauszem. Aż do momentu wychylenia pierwszej półlitrowki... Później radio zagrzmiało, a wokalne bełkoty rozproszyły iluzję spokoju.

Śmiechy dziewczynek na górze ustąpiły. Na myśl, że Aneta pewnie musiała tłumaczyć, kto i dlaczego tak hałasuje, zrobiło mi się przykro. Poczułam, że zawodzę jako matka. Złość zaczęła we mnie narastać, przysyłając moje wcześniejsze zdroworoządkowe odruchy zastraszonej żony.

Nie chcąc przeszkadzać mężowi podczas męskiego wieczoru, podeszłam do niego dyskretnie, objęłam jego szyję i grzecznie szepnęłam do ucha, czy mógłby ściszyć radio. Parsknął mi w twarz odorem alkoholu, twierdząc, że jego koledzy fantastycznie się bawią i skinął głową w stronę chwiejnych, nieudolnych tancerzy. Przyglądał im się z taką dumą i radością... Ja wręcz przeciwnie – z obrzydzeniem i nienawiścią.

Porzucając wszelkie nadzieje na pokojowe rozwiązanie sprawy, musiałam interweniować. Dla córki.

Kiedy blat stołu stanowił już przezroczyste bajoro rozlanej wódki, chwyciłam za kuchenną ściereczkę i zaczęłam wycierać mokre drewno. Przykładna gospodyni. Kilku mężczyzn sarknęło pod nosem, że taka żona to skarb, ale nie słuchałam. W końcu postanowiłam zrobić to, co do mnie należało. Idąc w kierunku kuchni, aby opłukać brudną szmatkę, celowo strąciłam biodrem radio z szafki. Muzyka ucichła. Tańce ustały. Podłoga przestała jęczeć. Byłam z siebie dumna. Chciało mi się śmiać i płakać ze szczęścia jednocześnie. Ulga trwała tylko przez chwilę. Mój mąż zacisnął pięści i zaczął młócić nimi o uda. Podeszedł do mnie rozwścieczony, nazywając mnie kurwą, szmatą i niezdarą, i zrobił to, w czym był najlepszy. Uderzył mnie, a czerwone opuszki palców wytarł o blat, przy którym biesiadowali. Zmył z siebie ślady zbrodni, a jak wytrzeźwieje, to winę pewnie jak zwykle zrzuci na wódkę. Jakby cokolwiek mogło go usprawiedliwić z agresji w stanie wskazującym.

Spojrzałam na ławę, na której ponownie zaczęła się tworzyć tafla alkoholu, mieszająca się z nieregularnymi kształtami mojej krwi. Wyobraziłam sobie, że rekiny zwabione metaliczną wonią kobiecego cierpienia wyskakują znad stołu i odgryzają głowy wszystkim pijanym mężczyznom. Ratują mnie, a ja pozwalałam im pić do dna z moich dotychczasowych ran, byle zapobiec powstawaniu świeżych sznyt na ciele.

Zaczęłam płakać. Bardziej niż zwykle. Bezbłędnie odegrałam rolę ofiary. Klęcząc na kolanach, przewiercałam smutnym

wzrokiem twarze sproszonych gości. Byli zmieszani, zaskoczeni zrywem ich świętego przyjaciela, nieskazitelnego fundatora ich codziennej zabawy przy darmowym zapasie alkoholu. Stali przez chwilę w bezruchu, nie wiedząc, gdzie podziać oczy. A kiedy położyłam się plackiem na ziemi i zaczęłam tupać nogami niczym małe dziecko, skutecznie się ulotnili. Mąż posłał mi tylko mordercze spojrzenie i upłynął się, podążając za swoimi wielbicielami. Pewnie musiał im wyjaśnić, że to wszystko nie tak, jak im się wydawało.

Wstałam, zanim moja córka i jej koleżanki zbiegły ze schodów, zwerbowane hałasem. Gdy weszły do salonu, świat znowu był na swoim miejscu, a ja mogłam zrobić dla nich kakao.

Wtedy wydawało mi się, że Aneta przeczuwała, jak bardzo jej tata różnił się od innych, przykładowych ojców, a po wielu latach byłam tego niemal pewna. Nie, nigdy mi tego nie powiedziała. Po prostu nie przyszła na jego pogrzeb.

Mój mąż zmarł kilka lat później. Nie był dobrym człowiekiem, ale w momencie naszego poznania tego nie wiedziałam. To za jego łagodne spojrzenie pokochałam go połową serca, która mi pozostała. Ale kiedy podniósł na mnie rękę po raz pierwszy, stał się potworem. Od tego momentu połowa mojego serca już tylko usiłowała do końca jego bytności dzielnie trzymać się w ryzach. Zostając wdową, nie czułam się zupełnie samotna – w końcu życie z kimś obok, ale w obawie o własne zdrowie i bezpieczeństwo, sprawia, że późniejsza samotność pozostawiona przez potwora wydaje się ukojeniem dla duszy i ciała.

2.

MATEUSZ WYSTĄPI W OPOLU

Był chłodny, jesienny wieczór. Kilka dni po Święcie Zmarłych. Pierwszego listopada nie odwiedziłam mojego męża na cmentarzu. Nie przepadałam za tłumami. A może wcale nie chodziło o bardzo dużą liczbę ludzi, a o to, że pochłonęłoby mnie tsunami ich wzroku.

Pojedyncze osoby w pośpiechu składające kwiaty na płycie nagrobnej, aby tylko wypełnić powinność i dotrzeć na rodzinny obiad przed korkami. Pary spacerujące swobodnie między alejkami i zachwycające się widokiem setek kolorowych zniczy. Idealne rodziny kontemplujące w ciszy, udające pogrążenie w zadumie oraz tęsknotę za bliskimi. Wszyscy omiataliby mnie zatroskanym spojrzeniem, powtarzając ze współczuciem: „Jaki smutny widok. Starsza wdowa samotnie oplakująca swojego męża. To musiała być piękna miłość”.

Nie wiedzieli, że odwiedzałam jego grób od kilkunastu lat tylko po to, by nie stać się taką samą bestią jak on. Bestią pozbawioną uczuć i empatii. Nie życzę mu źle, naprawdę... Gdziekolwiek jest, niech piekło będzie dla niego łaskawe i nie za gorące.

Wróciłam z cmentarza chwilę po piętnastej. Zmarzłam, ponieważ nie włożyłam rękawiczek, a autobus spóźnił się dwadzieścia minut. Buksował kołami po asfaltowej chlapie, poruszając się w tempie żółwia. Dobrze, że przed wyjściem zjadłam trochę gulaszu z wczoraj, bo w przeciwnym razie nie dość, że byłam zmarznięta na kość, to weszłabym do domu potwornie głodna.

Zaparzyłam sobie herbatę z dodatkiem miodu oraz szczypty cynamonu, a kiedy ta już przybrała brunatną barwę, wkroiłam

plasterek cytryny i ćwiartkę jabłka. Mateusz powiedział mi niedawno, że taki napój sprzedają podczas zimowej oferty w McDonaldzie. Ale ja korzystałam z tej receptury od wielu dobrych lat, więc w tej kulinarnej batalii o pierwszeństwo niewątpliwie wygrałam z fast foodem. Uwielbiałam tę rozgrzewającą herbatę, ale tylko jesienią i zimą. Wtedy picie jej wydawało mi się najbardziej naturalną czynnością, jaką można wykonywać w samotne, chłodne wieczory. Wiosną i latem, jeśli w ogóle piłam herbatę, słodziłam ją zwykłym cukrem i wlewałam sok wyciśnięty z połówki cytryny.

Rozsiadłam się na kanapie w salonie, kubek z gorącym naparem postawiłam obok na podłodze, żeby nie sięgać za każdym razem do niskiego stoliczka kawowego, a następnie włączyłam Netflixa. Tak, miałam konto na Netflixie, choć jeszcze nie do końca opanowałam sztukę logowania się do aplikacji. Mateusz dodał mnie do rodzinnego konta i wyjaśnił, że kiedy chcę coś obejrzeć, muszę wybrać grafikę jakiejś dziwnej postaci z filmu, podpisaną „babcia Regina”. Tak też zrobiłam. Uśmiechnęłam się z satysfakcją, gdy ekran telewizora rozbłysnął charakterystycznym czerwonym napisem. Na tyle, na ile mogłam, starałam się nadążać za postępem świata. Moje sąsiadki patrzyły na mnie jak na czarownicę wartą utopienia za dzierżenie w rękach elektronicznego pudełeczka z metalowym grawerem: Samsung. Wzdrygnęłam się na myśl, co by mi zrobiły, gdyby dowiedziały się, że zamiast Telewizji Polskiej oglądam Netflixa. Jedno było pewne – w ciasnym kręgu podwarszawskich senierek byłabym spalona!

Po nużącej wymianie zdań między pilotem a aplikacją nie znalazłam żadnego nowego, obiecującego filmu. Gdy więc w pozycjach proponowanych na dzisiejszy wieczór ukazała się moja ulubiona komedia *Teściowie*, postanowiłam włączyć ją po raz kolejny w tym tygodniu.

Jakoś w połowie filmu dopiłam ostatni łyk herbaty. Niemrawe promienie słońca zdążyły już skulić się za horyzontem, a niebo

skąpało się w bezkształtnym mroku. Kiedy wyjrzałam przez koronkową firankę wiszącą przy oknie, dostrzegłam na zewnątrz blask srebrnego księżyca, a w oddali migotały światła reflektorów samochodów. Mieszkłam na przedmieściach Warszawy, w cieniach polnej, szutrowej drogi, zatem hałas stolicy na całe szczęście nie wdzierał się pod mój dach. Przez moment zapatrzyłam się na pędzące pojazdy. Przywodziły na myśl chaotyczne pociągnięcia pędzlem czasu... Umykały, a na ich miejsce wskakiwały kolejne. Pomyślałam, że każdy dokądś gna, sfatygowany, popychany emocjami, napędzany myślami, że na końcu drogi ktoś na niego czeka.

Któż zatem czekał na mnie? Pilot? Netflix? Kubek? Herbata? Stolik? Firanka? W jednej sekundzie moja niesamotność zaczęła mi boleśnie doskwierać. Z cichym westchnieniem oderwałam wzrok od szyby okna.

Ujrzałam ją obok siebie. Osoba, którą kiedyś pokochałam, siedziała na kanapie. Kiedy w filmie nastąpił newralgiczny, najzabawniejszy moment, obserwowała kątem oka moją reakcję. Nie zdołałam stłumić wesołości. Parsknęłam śliną wymieszaną z herbatą, zginając się w pół i chichocząc w kułak.

Przecież to niemożliwe! Moja dawna miłość odeszła ode mnie. Nie było jej tu i koniec kropka! Zabrała ze sobą część mojego serca... Jeśli tak, dlaczego wciąż czułam? Dlaczego tęskniłam? Dlaczego wierzyłam w to, co widziałam?

Musiałam jakoś ujarzmić odrealnione myśli. Sięgnęłam w zagłębienie kanapy i wysunęłam z czeluści telefon, który zawsze tam utykał. Błądząc wzrokiem po wyświetlaczu, odnalazłam ikonkę TikToka i bez cienia zastanowienia pozwoliłam wirtualnemu mordercy zabić moje natrętne myśli.

Jako pierwszy ukazał mi się filmik ze śpiewającym Mateuszem. Od razu się rozluźniłam, a na moich ustach pojawił się mimowolny uśmiech, jak u każdej babci oglądającej swojego wnuczka. Przyjemne ciepło oblało moje wnętrze. Osiadło na dnie zatrzwożonej piersi, stabilizując jej rozszarpany rytm.

Mateusz wykonywał utwór Patrycji Markowskiej *Świat się pomylił*. Siedział zwrócony profilem do aparatu, na fotelu kupionym mu rok temu w prezencie na urodziny. Wnuk jak zawsze brzmiał cudownie. Podczas refrenu na moich starych rękach pojawiła się gęsia skórka, a oczy nasiąknęły łzami. Jedna kropla spłynęła mi po policzku, nawilżając zmarszczoną skórę. Tylko on potrafił doprowadzić moje zastale, babcine serce do wzruszenia... Pewnie jeszcze jedna osoba umiałaby tego dokonać, ale jej ramiona od bardzo dawna okalały przestrzeń poza zasięgiem moich uczuć i marzeń. Już nie były moje.

Odsłuchałam nagrania wnuka jeszcze po raz drugi, trzeci i czwarty, aż w końcu nasyciłam się jego talentem i zapomniałam o mojej niewyjaśnionej wizji sprzed kilku minut. Napisałam komentarz: „Pięknie! Wierzę, że niebawem zobaczę cię na festiwalu w Opolu!”. Udostępniłam filmik na Facebooku. Przekazywanie postów opanowałam do perfekcji, choć liczba moich znajomych nie przekraczała nawet stu osób.

Nagle mój telefon zaczął wibrować, a na wyświetlaczu pojawił się napis: „Anetka”.

Odebrałam.

– O wilku mowa! – krzyknęłam w słuchawkę, usiłując ukryć targające mną emocje. – No, co tam słyhać? – zagadnęłam szybko, zanim zapyta mnie o to samo, a potem proponuje, żebym wpadła jutro na obiad.

– Mamo, Mateusz jest w szpitalu. – Zmarłam.

Świat się zatrzymał, jakby znalazł się pod grubą warstwą lodu, niemożliwą do rozbicia nawet najbardziej błagalnym krzykiem oraz najtwardszymi uderzeniami umierającego serca. Głos Anety brzmiał sucho, wyzuty z wszelkich uczuć. Znałam córkę na tyle dobrze, że nawet przez telefon czułam, jak spazmatycznie drży jej dolna warga – działo się tak zawsze, kiedy żołądek ścisnął jej się z nerwów i niepewności. Moje usta także zaczęły drgać w paroksyzmach strachu. Bałam się, że utracę kolejną część

serca, o którą przez tyle lat dbałam, aby zachować w sobie część człowieka i dobroci.

– Lekarze mówią, że nastąpiło jakieś nagłe załamanie jego wady serca – dodała po chwili milczenia, powstrzymując się od płaczu.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Z każdym tyknięciem zegara zwiotczała skóra na moich nadgarstkach zdawała się ciężać coraz bardziej. Odnosiłam wrażenie, że zaraz sięgnę ziemi i podłoga wchłonie mnie w bezkres. Jeśli w szpitalu miało się wydarzyć coś, na co nie byłam gotowa, to wołałam zostać zjedzona przez panele własnego domu i uwolniona od zgniatającego ciężaru kolejnej żałoby.

– Mamo, jesteś tam? Powiedz coś! – Paniczne słowa Anety odbijały się echem w mojej głowie. Ledwo ją słyszałam.

– Powiedz mu, że nie może umrzeć! Jeszcze nie teraz! – wrzasnęłam prosto w słuchawkę telefonu, podrywając się z kanapy.

Nie wiem dlaczego, ale zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze czeka Mateusza. Jakie progi będzie mu dane przekroczyć. Jakie wspomnienia przyjdzie mu wydrążyć w pamięci. Jakie drzwi staną przed nim otworem. Radość z młodego, beztroskiego życia, ukończenie studiów, doświadczenie miłości, założenie rodziny, zbudowanie domu, występ w Opolu... Nie mógł umrzeć!

– Jadę do szpitala – oświadczyłam głosem pełnym stanowczości, zanim córka zdążyła zaproponować, że Mariusz po mnie przyjedzie, bo sama sobie nie poradzę.

Wsunęłam telefon do kieszeni dresowych spodni i wybiegłam w noc, ponownie nie zakładając rękawiczek.

3.

MATEUSZ NIE WYSTĄPI W OPOLU

Wyszłam na podwórko w pośpiechu. Czułam, że moje nogi są jak z waty, dlatego ostrożnie stawiałam kroki, schodząc po śliskich schodach. Przy ostatnim stopniu nieomal straciłam równowagę, wdeptując w świeży rozbryzg błota, ale moja determinacja powstrzymała mnie przed bolesnym upadkiem. Wiedziałam, że mam do wykonania misję, a jeśli coś sobie postanowiłam, nigdy nie dawałam za wygraną.

Kiedyś także ustaliłam, że osoba, którą pokochałam, zostanie ze mną na zawsze. Obiecywałam, że nigdy jej nie puszczę, ale wywinęła się sama, odchodząc z częścią mojego serca. Wtedy dałam za wygraną. Później, jako że marnie egzystowałam, chciałam odzyskać utraconą część siebie. Chciałam odzyskać moją miłość. Nie udało się, bo poznałam mojego męża. Opuściłam, godząc się z niemożliwym i łatając kratery wyżłobione w zranionym organizmie.

To były jedyne dwa razy w moim życiu, gdy zrezygnowałam. Zaprzysięgåłam sobie, że więcej do tego nie dopuszczę. Dlatego kiedy ktoś patrzył na mnie z boku albo dopiero mnie poznawał, mógł uznać, że byłam twarda, pewna siebie i że bezustannie nosiłam uniesioną gardę. To nieprawda. Nie byłam taka ani trochę, a garda dotychczas służyła mi jedynie do obrony przed ciosami mojego męża. W rzeczywistości po prostu nie użalałam się nad swoją dolą, a pewność siebie obróciłam raczej w poczucie determinacji.

Byłam silna, a przy tym wcale nie pozbawiona dobroci.

Podeszłam do starej komórki za domem i jednym pewnym szarpnięciem otworzyłam jej wrota. Od razu podziękowałam sobie w duchu, że nie miałam w zwyczaju zamykać nic na klucz, a tym bardziej zabezpieczać kłódkami. Mój dom zawsze stał dla wszystkich otworem, jak się okazało, nawet dla pijanych gości mojego męża... Poza tym mieszkalam na polanie, a jedynymi potencjalnymi złodziejami były dziki łaknące obierków po ziemniakach.

Wewnątrz uderzył mnie odór wilgoci oraz kurzu. Zapach typowej, nieużywanej przez nikogo graciarni. Nie wsiadałam na rower od ostatniego lata. Szybko pożalowałam, że upchałam go na sam tył składzika. Zanim się do niego dokopałam, musiałam przefiltrować masę rupieci. Pamiętałam je wszystkie, bez wyjątku.



Beżowy abażur od lampy kupionej, gdy miałam jakieś dwadzieścia siedem lat. To był mój pierwszy samodzielny zakup do nowego domu. Pamiętam, jak się cieszyłam, ustawiając ją w jeszcze pustym salonie. Usiadłam po turecku na podłodze, tam, gdzie dzisiaj stoi kanapa, i podziwiałam ją przez godzinę. Wyobrażałam sobie, jak dojrzewa wraz ze mną, niewzruszona wobec wszystkiego, co przyjdzie jej oglądać. Była moją królową domu. To ona kierowała duchem wszystkich pomieszczeń. To właśnie do jej koloru dopasowywałam każdy pojedynczy mebel. Ciepła, przytulna i domowa – o takiej atmosferze marzyłam. Chciałam tchnąć w betonowe ściany odrobinę magii, która nawet w bezsenne noce dawałaby mi poczucie bezpieczeństwa. I tak się stało. Kiedy za oknem świat wydawał się rozpadać, a ja nakrywałam twarz poduszką, przypominałam sobie o mojej królowej. Nie musiała być tuż przy mnie, aby dawać oparcie. Płynęła w żyłach domu.

Lampa trwała w nienaruszonym stanie do czasu, kiedy Anetka zaczęła dorastać i nauczyła się chodzić. Zwiedzała zakamarki

domu i naznaczała kolorowymi mazajami wszystko, co wydawało się interesujące. Najpierw zaatakowała antyczny kredens z porcelanową zastawą, potem sedes w łazience, parapet w kuchni, wszystkie garnki, blat stołu w jadalni, a nawet białą framugę okna. Aż wreszcie przyszła kolej na mój abażur. Zamazała go czerwonym flamastrem tak intensywnie, że po beżu nie został nawet najmniejszy ślad. Kiedy to zobaczyłam, zaczęłam szlochać. Podbiegłam do lampy, jak podbiega się w filmach akcji do konającego przyjaciela. Głaskałam splamiony materiał, zapewniałam, że wszystko będzie dobrze. Wydawało mi się, że ta lampa była tu od zawsze, wrosła w podłogę i że tak naprawdę nikt oprócz mnie jej nie widział. Najwyraźniej się pomyliłam. Zaczęłam krzyczeć na Anetę, obwiniać ją o bezmyślność i brak pomysłu. Wywinęła usta w podkówkę i się rozplakała. Przeze mnie. Nie rozumiała, o co chodzi. Dotąd była dumna ze swoich umiejętności plastycznych – przecież kiedy wcześniej dawała upust swojej kreatywności, nikt jej za to nie ganił.

Raz jeszcze zerknęłam na abażur od lampy – miał być amuletem ciepła, przytulności i bezpieczeństwa. Tymczasem sama właśnie zaburzyłam to, do czego bezustannie dążyłam, odkąd się tutaj wprowadziłam.

Natychmiast się opamiętałam. Chwyciłam Anetkę w objęcia i przycisnęłam do klatki piersiowej tak mocno, jakbym przytulała ją po raz ostatni. Przez chwilę drżała, ale z każdą sekundą jej dziecięcy umysł odsuwał od siebie to, co przed momentem się wydarzyło.

– Mamo, puść! To boli! – krzyczała wesoło, wyrывая się z moich ramion.

Pocałowałam ją w czoło i puściłam.

Zdjęłam ze stelaża abażur mieniący się czerwienią i wyprałam go kilka razy. Większość plam ustąpiła, lecz krwisty kolor na zawsze wdarł się w przytulną barwę tkaniny. Pomyślałam, że nowy wariant beżu, niezupełnie nieskazitelny, wygląda całkiem obiecująco i wcale nie jest mniej zachwycający od swojego poprzednika.

Uśmiechałam się, trzymając nad pralką abażur. Zrozumiałam, że moja królowa nie musi być w nienaruszonym stanie, abym czuła, że dom, który razem stworzyłyśmy, jest warty mieszkania w nim. Nie, nie my go stworzyłyśmy. To ja go stworzyłam – moje decyzje, wybory, zachowanie, uczucia... To przecież ja kupiłam tę lampę.

To ludzie decydują, czy dom stanie się bezpiecznym azylem, do którego wraca się z ulgą, czy złotą klatką skrywającą mrok. Tak, każdy człowiek gromadzi w sobie garść mroku, ale tylko od niego zależy, czy ostatecznie pozwoli mu się wydostać i zawładnąć jego umysłem.

Ja wybrałam miłość do córki. Wyniosłam lampę z salonu, ale nie potrafiłam jej wyrzucić. Przez wiele lat stanowiła znaczący fundament mojego życia. Nie ozdabiała już wnętrza, ale wciąż była niezbędną, aby przypominać, że to ja mam wpływ na ducha tego domu.

Schowałam ją w komórcę na podwórku.

Podobnie jak starą, zjeżdżoną oponę Fiata 126p – słynnego, polskiego malucha. Samochód ten należał do mojego męża. Poznaliśmy się w latach osiemdziesiątych. Mieszkaliśmy wówczas z rodzicami na terenie Saskiej Kępy i pracowałam jako kelnerka w pobliskim barze mlecznym.

Pewnego letniego popołudnia żar lał się z nieba, a bar nie został wyposażony w żaden wiatrak dający odrobinę orzeźwienia. Dodatkowo ze względu na niewielki ruch wakacyjny szefowa rozszerzyła zakres moich obowiązków – musiałam stać za kasą i samotnie doglądać sali.

Nie czułam się najlepiej. Cała spocona i sfrustrowana wychodziłam co chwilę na zaplecze, do toalety. Wycierałam mokrą twarz ręcznikiem papierowym, poprawiałam rozplywający się makijaż... i płakałam w samotności, żeby nikt – ani z kuchni, ani spośród klientów – nie dostrzegł mojej słabości.

W tamte wakacje opuściła mnie osoba, którą kiedyś pokochałam. Minęły wprawdzie dwa miesiące, odkąd zostałam wrakiem

człowieka, a wciąż nie potrafiłam sobie poradzić z obezwładniającą pustką.

Stałam pochylona nad porcelanową umywalką i patrzyłam w lustro na odbicie swojej żalosnej, zapłakanej twarzy. Po chwili usłyszałam kilka serii metalicznych brzdąknięć. Wydawały się znajome, ale je zlekceważyłam. Wewnętrzny szloch zakłócił receptory odbierające rzeczywistość.

Po chwili dźwięk powrócił. Tym razem pewniejszy, bardziej wyraźny. Dwie potrójne serie... Ostatnia skutecznie wyswobodziła mnie z krępującego letargu. Podniosłam wzrok i zdębiałam. To dzwoneczek dla klientów baru. Używali go, kiedy nie miał ich kto obsłużyć. *Dlaczego jestem taka nieobecna i zamroczona* – pomyślałam ze złością i wygładziłam roboczy fartuszek. Musiałam się otrząsnąć. Nie było czasu na osuszanie łez ani na walkę z dołującymi myślami. Klient z pewnością się niecierpliwił. Wiedziałam, że każda sekunda zwłoki jedynie zbliża mnie do skargi i w efekcie do zwolnienia z pracy.

– Wreszcie! Ileż można czekać! Co pani, u fryzjera była? – Zanim zdążyłam podejść za kontuar, męski głos zrugał mnie bez skrępułów. – Oj, przepraszam, nie chciałem pani urazić – dodał, dostrzegając moje mokre policzki. Mężczyzna zrobił się czerwony jak rak i wbił wzrok w swoje buty.

– Nie, nie o to chodzi – wydukałam naprędce, równie zmieszana.

Znałam moją szefową i wiedziałam, że gdyby zastała mnie w takim stanie przy kliencie, to jutro równie dobrze mogłabym zostać w domu i wreszcie porządnie się wyspać. Na szczęście wtedy nie było nikogo, kto miałby nade mną kontrolę. Odetchnęłam więc z ulgą i drżącymi palcami otarłam łzy.

– Niech pan wybaczy, ale w takie upalne dni mamy niewielki ruch, więc zostałam dziś sama na zmianie. Nie sądziłam, że ktoś jeszcze przyjdzie. – Postanowiłam przejąć inicjatywę i zakończyć tę niezręczną ciszę. W końcu to ja musiałam dbać o samopoczucie klientów, mimo że moje było dalekie od wartego naśladowania.

– Strasznie duszno tu macie. Jak pani to wytrzymuje? – Mężczyzna chwycił za kołnierzyk roboczego ubrania i zaczął nim wachlować.

– No, nie wytrzymuję – rzuciłam, siląc się na jakikolwiek żart, który mógłby przełamać lody między nami.

– Ale brak wiatraka to chyba nie jedyny pani problem, co? – zapytał troskliwie i pierwszy raz podniósł głowę, patrząc mi prosto w oczy.

Był przystojny. Nieco starszy ode mnie – wiek zdradzały płytkie bruzdy pojawiające się na jego czole podczas mówienia. Miał hipnotyzujące, piwne oczy i krótko ścięte włosy, pewnie z racji wykonywanego zawodu. Jego uniform wskazywał na to, że trudnił się robotami fizycznymi. Musiał ciężko pracować w pełnym słońcu i nieustannie się pocić. Toteż w jego przypadku fryzura na jeża okazała się najpewniej jedynym słusznym wyborem, jeśli chciał dbać o higienę ciała oraz własny komfort. Zresztą całkiem do niego pasowała. Dodawała jego twarzy grozy, animuszu, dzięki czemu prezentował się nad wyraz męsko. Można by wręcz stwierdzić, iż wydobyła z niego kwintesencję męskości.

– Ha, ha! – zaśmiałam się sztucznie. – Powiedzmy, że mam gorszy czas – dodałam obojętnie, żeby czym prędzej zakończyć niewygodny temat i zerknęłam na niego ponaglająco.

– Ach, tak! – Zreflektował się i wyciągając z kieszeni kilka złotych, złożył wyczekane w niecierpliwości zamówienie.

Przez kolejne dni przychodził do baru codziennie. Wpadał przez drzwi, a kiedy akurat nie stałam przy kasie, dzwonił dzwoneczkiem wiele razy. Ale już nigdy nie podnosił na mnie głosu, tylko czekał cierpliwie.

Byłam mu szczerze wdzięczna, choć nasze rozmowy ograniczały się wyłącznie do nic nieznaczących pogawędek na temat pogody albo żartów dotyczących wozu, którym zajeżdżał pod bar. Żółta, masywna, ubłocona ciężarówka przyprowadzona prosto z terenu budowy zajmowała trzy miejsca parkingowe. Widząc jej

jaskrawą barwę, mimowolnie się uśmiechałam. Wydaje mi się, że mężczyzna dostrzegł grymas radości wykwitający na mojej twarzy, dlatego dzień w dzień kradł wywrotkę z miejsca pracy. Dla mnie. Dla mojego uśmiechu oznaczającego wyjątek od permanentnego bólu. A może tylko to sobie wyobraziłam?

Kiedy staliśmy po dwóch stronach lady, naprzeciwko siebie, momentami zjadało mnie wrażenie, że chce mi coś powiedzieć – przemóc się, zdobyć na kilka pokrępiających słów. Lecz ilekroć dostrzegał bezbrzeżny smutek w moich źrenicach, niezmiennie kończyło się na jednym zdaniu: „Duszno tu macie”.

Któregoś sierpniowego dnia nie pojawił się w barze. Pomyślałam, że może wziął sobie wolne albo zachorował... Albo się mną znudził. W końcu minęły prawie dwa miesiące wakacji, a nasza relacja, jeśli w ogóle można było to tak nazwać, nie ruszyła z miejsca nawet o milimetr.

Nie wiedziałam dlaczego, ale zrobiło mi się przykro. Poczułam niepokój, trudny do opisanego strach... Nasze codzienne, krótkie rozmowy utwierdzały mnie w przekonaniu, że żyję i że wraz ze łzami nie wylałam z siebie człowieczeństwa. Trwałam na tym świecie, a ocalała część mojego serca trwała razem ze mną. Nie stałam się do cna niewidzialna, niezdolna do życia.

Drobno usiane gwiazdami niebo majaczyło w górze, mrugając do mnie usypiająco. Powoli szykowałam się do zamknięcia baru. Wypucowałam stoliki, okna, blaty, opróżniłam kosze na śmieci, rozliczyłam gotówkę w kasie oraz uzupełniłam papier w toalecie, który zużyłam przez cały dzień. Ziewnęłam ciężko i wyciągnęłam ciało do sufitu z błogim jęknięciem.

Nagle usłyszałam zbliżający się dźwięk silnika. Brzmiał zupełnie inaczej niż proste warczenie ciężarówka. Fiat 126p zaparkował przed barem. Już zmierzałam w kierunku drzwi, żeby zakomunikować nieznanemu kierowcy, że właśnie zamykamy, ale wtedy z samochodu wyłonił się on. Jednak przyjechał. Serce zabiło mi szybciej.

Postanowiłam jeszcze nie zamykać, chociaż kucharze wyszli jakieś piętnaście minut temu, a ja zablokowałam już dostęp do kasy i szansa na złożenie zamówienia przepadła.

Wyglądał inaczej niż zwykle. Przyodział klasyczne dżinsy z przetarciami na kolanach oraz grafitowe polo, niedopięte na ostatni guzik.

– Przepraszam za moje naganne spóźnienie, proszę pani. – Ukłonił się teatralnie, choć bynajmniej nie brzmiał na skruszonego. Kiedy nabrałam powietrza do płuc, aby mu odpowiedzieć, dodał: – Wiem, że zaraz zamykacie, ale dziś nie będę tutaj sam. Myślę, że warto zrobić wyjątek dla stałego klienta i zamknąć pół godziny później. – Niespodziewanie podszedł do mnie i jednym sprawnym, a zarazem delikatnym ruchem ściągnął ze mnie roboczy fartuszek, po czym, obejmując mnie ramieniem, poprowadził do stolika, przy którym zawsze siadał. – O tej porze szef kuchni serwuje tylko deser – zaśmiał się nieśmiało, sugerując, że nie potrafił przygotować nic bardziej wykwintnego.

Nie zauważyłam jego niewielkiej torby przewieszanej przez ramię. Otworzył ją i z dna wyciągnął talerzyk pełen małych trójkątów – wafli przekładanych masą kakaową oraz dwa bidony gorącej herbaty, parującej malinowym aromatem.

Tak wyglądała nasza pierwsza randka.



Wreszcie udało mi się dosięgnąć mojego roweru. Nie zamykałam nawet komórki, teraz i tak nic nie miało żadnego znaczenia. Ruzyłam przed siebie, walcząc z ciężącym oporem czasu.

Dojechałam do szpitala w pół godziny. Rzuciłam rower przed wejściem, pogodzona ze stratą błękitnej damki. Zdyszana niemal wczółgałam się do środka po schodach.

Wewnątrz unosił się zapach śmierci i żałoby. Nienawidziłam szpitali. Bezlitosne, czarne widmo ścisnęło mnie w żołądku.

Pomimo mojego leciwego wieku nie doskwierały mi żadne poważne choroby. Wszelkie wątpliwości dotyczące mojego zdrowia rozwiewałam za pomocą nowoczesnych teleporad. W tamtej chwili jednak nie miałam wyjścia – musiałam tu przyjechać.

– Dzień dobry, mogę pani jakoś pomóc? – Zaskoczył mnie miły, męski głos. Wyrósł przede mną pielęgniarz w białym kitlu. – Mam na imię Kuba, pracuję tutaj – dodał uprzejmie, dostrzegając moje zmieszanie albo uznając mnie za staruszkę z alzheimerem.

– Dzień dobry – odpowiedziałam zdyszana. Chłopak zasugerował skinieniem głowy, żebym spoczęła, ale od razu zaprzeczyłam. Nie mogłam zwlekać. – Mój wnuk tutaj jest. Od dziecka cierpi na wadę serca. Gdzie go znaleźć? – zapytałam, nie wdając się w szczegóły.

Miły pielęgniarz bezzwłocznie zaprowadził mnie do windy i polecił udanie się na drugie piętro, na oddział kardiologiczny. Tak też zrobiłam.

Wysiadając z windy, dostrzegłam Anetę siedzącą na korytarzu. Musiała wyczuć moją obecność, bo jak na sygnał odwróciła się w moim kierunku.

– Mamo, jesteś! – Podbiegła do mnie i wpadła prosto w moje ramiona. Zaczęła szlochać. Zionęła mrozem, jakby jej krew zamarzała w zatrważającym oczekiwaniu na utratę dziecka.

– Już dobrze – uspokajałam ją, choć oczy szczypały mnie niemiłosiernie. – Już dobrze – szepnęłam w powietrze, tym razem chyba bardziej dla własnej otuchy.

Do tej pory nie pozwoliłam sobie na chwilę słabości. Nie ulegałam strachowi. Kiedy dotarłam do szpitala, moja odwaga zaczęła się kurczyć do mikroskopijnych rozmiarów. Nie chciałam myśleć o tym, co będzie, jeśli Mateuszkowi coś się stanie. Cokolwiek. Mojemu jedynemu światłu.

– Gdzie on jest? Mogę go zobaczyć? – zapytałam i wypuściłam ją z uścisku, intensywnie rozglądając się po pomieszczeniu.

– Tam. – Aneta wskazała palcem na salę, pod którą jeszcze przed chwilą siedziała. – Nie wiem, czy powinnaś na to patrzeć – dodała, usiłując złapać mnie za rękę. Nie zdążyła zareagować. Byłam już kilka metrów przed nią.

Stanęłam pod wskazanymi drzwiami. Widziałam go przez szybę. Mój kochany, jedyny wnuczek leżał nieruchomo na szpitalnej leżance z maską tlenową przy twarzy. Wyglądał, jakby już nie żył. Ja też skostniałam.

Zrozumiałam, dlaczego temperatura ciała Anety przypominała ziąb góry lodowej, zabójcy Titanica. Poczułam, jak moje serce również zamarza. A raczej jego część pozostała w mojej piersi po osobie, którą kiedyś pokochałam.

Lekarz pochylał się nad Mateuszem, monitorując jego parametry życiowe, a pielęgniarka wkłuwiała złowieszczą igłę w jego papierową skórę. Modliłam się, aby zainfekowała jego organizm jakimś życiodajnym płynem, sprawiając, że wnuczek zaraz się obudzi i zaśpiewa dla mnie piosenkę.

Zamknęłam powieki, a po policzku spłynęła mi łza tak gorąca, że przez chwilę uwierzyłam, iż moje ciało rzeczywiście zamarzło. Kiedy otworzyłam oczy, mogłam obserwować jedynie zasłonięte żaluzje. Ukryli przede mną cierpienie mojego światła.

Mijały kolejne minuty. Siedziałyśmy z Anetą w zupełnej ciszy. Obie doskonale wiedziałyśmy, że nasze myśli galopują po mrocznych krainach i nie zamierzają się zatrzymać.

W międzyczasie wrócił także Mariusz, mój zięć, z gorącą kawą. Nieświadomy mojej obecności poprosił automat o wypełnienie kofeiną tylko dwóch kubeczków. Zaproponował, że odda mi swoją porcję, ale pogłodziłam go po ramieniu i odmówiłam. To dobry, kulturalny dzieciak, wspaniały mąż i opiekuńczy ojciec, ale ja nie potrzebowałam kawy. Potrzebowałam Mateusza... Rozbłysku jasności w ciemnym korytarzu zwątpienia.

Szpital to bunkier życia bez gwarancji ocalenia, do którego trafisz przed metą, niezależnie od tego, jak bardzo broniłeś się przed

nim na starcie. Szpital to morze złudnej nadziei, litry wylanych łez, tony zaciśniętych supłów na żołądku i lata żałoby po nieudanej interwencji superb bohaterów w białych pelerynach. Ostatecznie i tak zawitasz do szpitala, błagając w odmętach umysłu, aby twoja gasnąca żarówka została pomyślnie wymieniona, choć istnieje ryzyko, że zostanie rozbita, zanim zdąży się wypalić.

Drzwi do sali Mateusza stanęły otworem, przecinając ciszę przeraźliwym skrzypnięciem rozchodzącym się po całym budynku. Aneta, ja i Mariusz przerwaliśmy hibernację na plastikowych krzesłach.

Trzy pielęgniarki opuściły miejsce zbrodni, podążając w ciasnym sznurze, jedna za drugą.

Postąpiłam krok do przodu. Serce podeszło mi do gardła, czułam w krtani gulę niemożliwą do przełknięcia. Spojrzałam na każdą z kobiet, szukając jakiegokolwiek znaku wykwitającego na ich twarzach. Wwiercałam wzrok w ich oblicza z taką samą intensywnością i bezapelacyjnym błaganiem, z jakim patrzyłam wiele lat temu na pijanych kolegów mojego męża w naszym salonie.

Każda z pielęgniarek mijała mnie jak ducha. Żadna nie omiotła mnie nawet delikatnym spojrzeniem. Patrzyły w ziemię. Czułam, że dzieje się coś niedobrego. Wiedziałam, że za moment ostatnia część mojego serca wyparuje z mojego ciała, i stracę resztki człowieczeństwa.

Unikałam patrzenia na Anetę. Nie chciałam oglądać mojej córki, która właśnie traciła dziecko. Chwila, w której matka przestaje być matką – tego nie powinien oglądać żaden człowiek.

Z sali Mateusza wyłonił się lekarz, mężczyzna ze srebrną smugą czasu na brodzie. Zaczął iść w naszym kierunku, a moje serce stanęło w płomieniach. Wypalało moje wnętrzości. Chwiałam się na nogach, jakby ktoś rzucił na mnie urok. Nie wierzyłam w czary. Nie wierzyłam też w głupią nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Staął przed Anetą. Opierała się na barkach Mariusza, niezdolna do wydobywania z siebie najcichszego dźwięku.

– Bardzo mi przykro, zrobiliśmy co w naszej mocy, aby go uratować, ale...

Przestałam go słuchać i zaczęłam płakać.

*Nie, nie, nie! Tylko nie mój Mateusz! Zaśpiewaj mi coś jeszcze, błagam.
Tak bardzo cię potrzebuję.*

Po czym osunęłam się na kolana, chwytając się za serce. Stało się to, co przewidywałam. Wraz z odejściem mojego światła, zniknęła druga część mojego serca.

Nastała ciemność.

4.

EGZYSTENCJA W NIEŻYCIU

Obudziłam się po sześciu miesiącach egzystencji w mroku. Jednak żyłam... Nie, nie żyłam.

W moim odczuciu życie to chęć codziennego oglądania słońca, księżyca, gwiazd rozrzuconych po granatowym niebie... Podziwianie, jak zmieniają się w przeciągu dwudziestu czterech godzin – zasypiają i na nowo się budzą. Życie to ciąg emocji, poczynawszy od panicznego krzyku przy narodzinach, a skończywszy na pogodzeniu się z końcem rwącego potoku krwi w twoich żyłach. W końcu każdy potok ma gdzieś swoje źródło i ujście, nikogo więc nie powinno dziwić, że także ten kiedyś dobieje do nieuniknionej tamy. Nie wszyscy są pogodzeni z nagłym zatrzymaniem przepływu. Ja i Mateusz nie byliśmy gotowi na śmierć.

Po odejściu wnuka, sześć miesięcy temu, przeszłam na szpitalnej podłodze rozległy zawał serca. Ale dopiero po upływie pół roku mogę powiedzieć, że się obudziłam.

Wczoraj, stojąc przed lustrem, zdałam sobie sprawę, że żyję. Uderzyłam pięścią w taflę szkła, a moja skóra rozwarła się, zaczęła szczypać i krwawić. Poczułam coś. Cokolwiek. Rozpłakałam się. Do tej pory ludziłam się, że to tylko sen. Wyobrażałam sobie, że za moment zadzwoni do mnie Mateusz i obudzi mnie tym swoim radosnym głosem. Zapowie, że wpadnie do mnie przy okazji powrotu z uczelni, i poprosi, żebym ulepiła mu talerz pierogów z mięsem.

Ale nie śniłam. Czułam ból, a to oznaczało, że żyłam. A raczej egzystowałam w nieżyciu, bo tego nie można było nazwać życiem.

Kiedy przykuśtykałam do kuchni, aby przegrzebać wszystkie szafki w poszukiwaniu jakiegoś bandaża do zasklepienia owocu mojej frustracji, zerknęłam na stos luźno porozrzucanych dokumentów na blacie. Sięgnęłam po nie, plamiąc białe kartki czerwonymi rozbryzgami. Zaczęłam czytać – tak zwane zalecenia, wskazania i recepty. Setki niezrozumiałych słów i poleceń medycznych, zwieńczonych lekarskim podpisem na dole. To wszystko dla mnie? Mam się do tego stosować? Ale skąd te papiery w ogóle wzięły się w moim domu?

Czytając zapiski o trudnej i długotrwałej rekonwalescencji po zawale, mrużyłam oczy i wyteżałam umysł. Przysięgam, coś naprawdę musiało mi umknąć. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek moja wizyta u lekarza dotyczyła jakiegoś zawału. Straciłam tylko kolejną część serca, nic nowego. Ze stratą zawsze radziłam sobie sama. Lekarze nie mogli przywrócić tego, co odeszło bezpowrotnie... Nie byli czarodziejami, ewentualnie bohaterami w białych pelerynach. Zdawali się na podręcznikowe zaklęcia i naukowe schematy. Medycyna nie wierzyła w magię.

Moje serce było bardzo nadwyrężone, a każdy krok sprawiał, że czułam tysiące metalowych szpileczek gnieźdzących się w mojej klatce piersiowej. Nie pamiętałam, aby sześć miesięcy temu oddychanie sprawiało takie trudności. Czy powietrze nabrało gęstości, gdy spałam? A może to przez brak papierowych słomek przy każdym kartoniku owocowego napoju w dyskontach? Albo mój mózg błędnie twierdził, że bez ustanku biegnę do Mateusza, a tętno galopowało w rytmie moich kroków. A może to ostatnie milimetry mojego serca tańczyły na cienkim pograniczu życia i nieżycia...

Czytałam dalej: „Zaleca się, aby w miarę możliwości pacjent prowadził aktywny tryb życia. Wskazana umiarkowana aktywność fizyczna”.

Omiotłam wzrokiem salon, oddzielony niewielkim łukiem od kuchni. Kiedy mój salon zamienił się w siłownię? Na prostokątnym, sznurkowym dywanie stały: rowerek do ćwiczeń, bieżnia

oraz mata, a na niej leżały cztery ciężarki o różnych kolorach i ciężkościach.

Nie przypominałam sobie, żebym kiedykolwiek była fanką sportu. Czułam się zdeorientowana... Żyłam, o czym świadczyła rozcięta, wciąż krwawiąca skóra mojej dłoni, ale nie wiedziałam, gdzie się znajduję. Utknęłam w brutalnej rzeczywistości czy kroczyłam w zbyt realistycznym śnie?

Dźwięk telefonu komórkowego wyswobodził mój umysł z zamyslenia. Poczułam drgania w kieszeni spodni. Sięgnęłam ręką w kierunku wibracji, ale oderwałam ją gwałtownie z głośnym syknięciem. Musiałam użyć zdrowej dłoni, bo zetknięcie rany z materiałem okazało się prawdziwie druzgocące.

– Halo, mamu? Wstałaś? – Z telefonu wybrzmiał głos Anety.

Uśmiechnęłam się. Zdziwiona, że moje mięśnie mimiczne nie zwiedły od żalu wtopionego w moje DNA. Jednak milimetry serca, które mi pozostały, pozwalały na jeszcze odrobinę zwyczajnych, ludzkich odruchów.

– Hej, Anetka. Jak ja się za tobą stęskniłam – wysiliłam się na radosny ton, choć w rzeczywistości chciałam się rozplakać z bezsilności.

Nie dość, że dłoń paliła mnie żywym ogniem, to jeszcze bardzo pragnęłam zapytać, czy Mateusz żyje... Czy to wszystko to tylko nędzny i długi koszmar? Nie miałam jednak dość odwagi. W głębi duszy wiedziałam, jaką usłyszę odpowiedź. Wyczułam to po głosie Anety – nijakim, wątlwym, bezdźwięcznym...

– Mamu, przecież byliśmy u ciebie wczoraj – wyjaśniła łagodnie, po czym westchnęła jak zawsze, gdy potrzebowała ulotnić wzbierające napięcie.

– Ach, tak... Przecież wiem – skłamałam sprawnie.

Widząc wszystko to, co dzieje się wokół mnie – poważne ubytki w pamięci, egzystencja w nieżyciu, krwawiąca ręka, zalecenia, recepty i salon przepoczwarzony w siłownię – nie chciałam przysparzać sobie więcej problemów. Obawiałam się, że uznają

mnie za niepoczytalną, bo sama czułam się jak pozbawiona istotnych zwojów. W rzeczywistości nie miałam pojęcia, gdzie byłam przez ostatnie pół roku i co się wydarzyło. Może rzeczywistość oszalałam?

– Mamo, brałaś leki? – Aneta zapytała nużącym tonem, jakim każdy zapracowany rodzic zagaduje swoje dziecko, gdy wróci ze szkoły.

– Jakie leki? – Zanim mój mózg się zreflektował, słowa same wypłynęły niezmaconą melodią z mojej buzi. Nie potrafiłam dłużej udawać.

– Mamo... – Usłyszałam w telefonie nerwowe szurnięcie krzesłem. Córka musiała wstać, zirytowana i niezdolna do zachowania cierpliwości. Nie winiłam jej za to. Przeczuwałam, że straciła dziecko, a wraz z żałobą dostała w gratisie nowe, dwa razy starsze od niej. – Leki masz w pierwszej szufladzie szafki nocnej. Weź je, a ja po południu przyjadę i naszykuję ci dawkę na wieczór. – Brzmiała na zmęczoną i zrezygnowaną.

Nie mogłam pozwolić, żeby się tak czuła. To ja byłam jej matką i powinnam dbać o jej samopoczucie, jak wtedy, gdy była niewinną kruszynką. Za wszelką cenę ukrywałam przed nią siniaki obnażające moje słabości, starając się zapewnić jej beztroskie dzieciństwo, wolne od pęknięć i pełne poczucia bezpieczeństwa. Cementowałam je klejącą papką mojego potu, łez i krwi.

– Aneta, powiedz mi, co się tutaj dzieje. – Musiałam poznać prawdę. Życie w niewiedzy było gorsze od śmierci. – Obudziłam się, wydaje mi się, jakbym przespała pół roku, mam luki w pamięci, na stole leżą jakieś recepty, a salon zagracają dziwne urządzenia do ćwiczeń – wydyszałam jednym tchem. Z każdym słowem czułam coraz większą ulgę, ale jednocześnie nasilał się też kłujący żar w klatce piersiowej.

Przez chwilę jedyną odpowiedź na moje wątpliwości stanowiła cisza. Po kilku sekundach zastąpiło ją chlipanie i nierówne pociąganie nosem.

– Mariusz! Mama odzyskała świadomość! – wybuchła z niewyobrażalną siłą, po czym ewidentnie porzuciła naszą rozmowę w chwilową niepamięć. Mamrotała coś w kierunku męża, ledwo wyłapywałam pojedyncze słowa ekscytacji oraz falę wzruszenia. – Mamo, już do ciebie jedziemy – zakomunikowała krótko i się rozłączyła.

Niespodziewanie moje serce zaczęło tłuc o kości w niebezpiecznym przyspieszeniu. Endorfiny uderzyły do mózgu, a źrenice rozszerzyły się jak w ekstazie. *W końcu ich zobaczę. W końcu usłyszę melodyjny głos Mateuszka...* – pomyślałam i natychmiast ponownie spąsowiałam, ganiąc się za otępienie umysłu. Najpierw musiałabym umrzeć, a wszystko wskazywało na to, że umarłam jedynie na sześć miesięcy...

Aneta z Mariuszem przyjechali do mnie dwadzieścia minut później. Otworzyłam drzwi i od razu wyczułam znajome perfumy. Oboje zaczęli płakać. Ja także nie zdołałam powstrzymać łez – i wcale nie ze szczęścia. Ból rozdzierał resztki mojego serca, kiedy zamykałam za nimi drzwi, wciąż widząc na podłodze niewidzialne ślady butów Mateusza.

Okazało się, że po śmierci mojego wnuka rzeczywiście przesłam rozległy zawał. Choć lekarze nie dawali mi realnych szans na przeżycie – w końcu nie wierzyli w magię – ku zdumieniu całego personelu szpitala przeżyłam. Aneta wyjaśniła, że pragnęłam oddać życie Mateuszowi, udać się w zaświaty po jego duszę i zniknąć, ulegając łapczywym demonom ciemności.

Moja ніć ze światem zewnętrznym została naderwana. Nie żyłam, choć żyłam. Egzystowałam. Byłam. Oddychałam. Jadałam. Piłam. Spałam. Wypróżniałam się. Leżałam. Chodziłam. Rozmawiałam. Płakałam. Lekarze uznali to za efekt wyparcia – skutek zbyt silnych emocji, mechanizm obronny zrozpaczonego organizmu. Podobno polecili mi wizytę u psychiatry, ale broniłam się, jak mogłam. Opuścili więc i skupili się na leczeniu następstw zawału.

Po dwóch tygodniach spędzonych w szpitalu wróciłam do domu z grubą teczką pełną medycznych plików, ale mój stan psychiczny nie uległ poprawie. Leki podawane przez Anetę dzień w dzień, jak niepełnosprawnemu dziecku, odbudowywały struktury mojego ciała. Umysł i pozamaterialne odmęty organizmu wciąż jednak spowijała nicość.

Dowiedziałam się, że rodzina przyjeżdżała do mnie każdego dnia. Ciotki, wujowie, stryjdowie, przyjaciele i ich dzieci zjeżdżali ze wszystkich stron Polski, aby osobiście doświadczyć mojej tragedii. Gdy na dobre wtopiłam się w materac łóżka, niezdolna do podźwignięcia ciała chwytała moją dłoń – współczuli babci, która straciła wnuczka. Rozmawiali ze mną i płakali. Zdawali się na nikłe uśmiechy, żeby podnieść mnie na duchu, ale nawet nie dostrzegałam ich obecności. Pusto lustrowałam przestrzeń, zatapiając się w betonie własnego domu. Po pierwszym miesiącu mojej nieśmierci wszyscy stopniowo usuwali się w cień. Kręcili głowami, wzdychali, a na koniec odpuszczali z obawą, że mroczna klątwa dosięgnie ich samych. Obdarowywali Anetę podwójnymi kondolencjami. Zatrzaskiwali drzwi mojego domu z przekonaniem, że przekraczają jego próg po raz ostatni. Byli pewni, że śmierć dosięgnie mnie prędzej niż później: „Biedna Regina... Niech Bóg da jej wreszcie upragniony wieczny odpoczynek. Bidulka się męczy. Nie wie, kim jest. Wegetuje”. Przyjeżdżali coraz rzadziej i rzadziej, aż w końcu jedynymi świadkami procesu rozkładu mojej osoby stali się Aneta i Mariusz. Gdyby nie łączyły nas bliskie więzy krwi, Aneta także zajęłaby się sobą oraz przeżywaniem własnej żałoby po pochówku syna. Nie mogłam mieć jej za złe. Nikt nie chciałby czuć nad wrakiem znajomej duszy osoby, która się poddała.

Lekarze pozwolili mi opuścić szpital na pogrzeb Mateusza, choć w mojej zaburzonej podświadomości on nigdy się nie odbył. Podobno podążałam na samym przedzie pochodu, nie odzywając się do nikogo choćby najmniejszym półsłówkiem. Nie uraczyłam nikogo najcieńszą linią opadających warg. Ani razu nie spojrzałam na dębową trumnę

ustawioną w samym centrum kościoła. Dla mnie nie istniała. Dwa dni przed ostatnim pożegnaniem zakupiłam w tajemnicy, a raczej bez informowania kogokolwiek, wieniec cementarny z dedykacją na połyskującej szarfi: „Od kochającej babci. Niebawem do Ciebie dołączę”. Wszyscy byli zde gustowani i przerażeni tym mrocznym wersem. Ja lustrowałam prostackie napisy na temat tragicznej śmierci mojego wnuczka: „Odszedłeś tak nagle”, „Choć Ciebie już nie ma, Twoje słowa żyją w nas”, „Bóg tak chciał”. Po ceremonii pogrzebowej płakałam cały dzień bez ustanku. Wyczerpałam cały zapas łez, a oczy zaszły mi mleczną mgłą i obrodziły czerwoną, nieregularną siecią żyłek. Później spałam przez dwa dni bez przerwy, nieświadomie plamiąc materac żółtawym moczem... Nie jadłam, nie piłam, nie żyłam – zwyczajnie tęskniłam.

Aneta usiadła na rowerku ustawionym naprzeciwko mojego łóżka.

– Mamo, wiem, że jest nam ciężko. – Nie ukrywała słabości. – Ten rok jest dla nas cholernie trudny. Ale musisz zaakceptować fakt, że Mateusza już z nami nie ma. Przynajmniej nie w taki sposób, w jaki byśmy chcieli. – Łza nawilżyła jej chropowatą, wysuszoną cerę. Zeszła z maszyny i usiadła obok mnie z wyuczoną ostrożnością.

– Nie umiem pogodzić się z tym, że go tutaj nie ma. – Nawet nie spostrzegłam, kiedy moje zęby zaczęły szczekać. – Cały czas wydaje mi się, że zaraz do mnie wpadnie pokazać swoje nowe nagranie, na którym śpiewa jakąś piosenkę z lat mojej młodości. – Musiałam przerwać i odchrząknąć, bo głos zaczął mi się łamać.

Zapatrzyłam się na horyzont przelewający się za oknem. Świat zdawał się płynąć dalej, niewzruszony wszelkimi niedogodnościami zsyłanymi przez los na moje barki. Jawne opuszczenie gardy i przyznanie się do obaw okazało się znacznie trudniejsze niż półroczne dryfowanie w potędzie nieżyicia. To coś jak rozdrapywanie nigdy niezagojonej rany, coś jak oficjalne rozpoczęcie żałoby, żeby za kilka miesięcy zapomnieć o przepełniającym bólu

i pogodzić się z brakiem obecności mojego światła, które miało trwać wiecznie.

– Wiem, mamó. Naprawdę wiem – wyszeptała Aneta i objęła moje wychudzone ciało, przyciskając do swojej piersi.

Słyszałam szum jej krwi. Bulgotanie kwasu żołądkowego. Ciepło regenerującego się ciała. Była silna, a ja byłam dumna, że mam taką córkę.

Pierwszy raz od sześciu miesięcy poczułam coś innego niż ból.

SPIIS TREŚCI

1. NIESAMOTNOŚĆ BEZ POTWORA	6
2. MATEUSZ WYSTĄPI W OPOLU	12
3. MATEUSZ NIE WYSTĄPI W OPOLU	17
4. EGZYSTENCJA W NIEŻYCIU	29

Poznaj inne nasze książki:
Sekrety ukryte za szkłem – Maja Szanecka-Żołdak

Trudna młodzież



Lustro powinno mówić prawdę, tak? Niezależnie od tego, czy mamy odwagę na nią spojrzeć. Szklana tafla zazwyczaj bezlitośnie odwzorowuje rzeczywistość – a ta rzadko bywa dla nas łaskawa.

Co jednak, jeśli pewnego dnia odbicie przestanie Cię naśladować? A jeśli wyciągnie ku Tobie ręce i zabierze na drugą stronę?

Kornelia nigdy nie zaprzętała sobie głowy takimi pytaniami. Próbowwała po prostu przetrwać kolejny dzień w szkole, zbyt zajęta walką z własnymi niedoskonałościami, by wierzyć w istnienie innych światów. Wszystko zmieniło się w dniu, w którym po drugiej stronie lustra zobaczyła kogoś, kto w niczym nie przypominał jej samej.

A Ty, Czytelniczko, ile jesteś w stanie poświęcić, by stać się wersją siebie, o której zawsze marzyłaś?

Ja + Ty = WNM – Magdalena Jachnik, Ewa Maciejczuk



Czy niewinny zakład młodych ludzi może odmienić całą szkolną rzeczywistość?

Dwoje nastolatków, z dwóch różnych światów. On bogaty, dusza towarzystwa, ona cicha, zamknięta w swojej bańce, woli fikcję literacką zamiast kontaktów towarzyskich. Zakład, w który Mason nigdy nie chciał się angażować, szybko przestaje być niewinną grą. Zwłaszcza gdy dziewczyna, będąca częścią planu, zaczyna dla niego znaczyć coś więcej. Jednak igranie z uczuciami to niebezpieczna gra. Czy to, co miało być tylko dobrą zabawą, ma szansę rozwinąć się w coś poważniejszego?

Nie wszystko da się zatrzymać w odpowiednim momencie, a prawda ma to do siebie, że zawsze wychodzi na jaw. Jak będzie tym razem?

Thomas staje się wilkiem – Dawid Przybyś



Wyobraź sobie urządzenie, które może przenieść Twój umysł do pupila domowego. Możesz patrzeć na świat jego oczyma. Jest tylko jeden warunek: nie możesz przenosić się w umysły dzikich zwierząt.

Poznaj historię Thomasa, Twojego rówieśnika, który dla takiego urządzenia gotów jest poświęcić bardzo wiele. Oczywiście szybko łamie jedyny zakaz, jakim obwarowane jest IconAnimal. Jak daleko się posunie? I co się stanie, gdy granice między grą a rzeczywistością zaczną się zacierać?

Powieść nie tylko dla dzieci i młodzieży!

Intymne życie Moniki P. – Dawid Przybysz



Mam na imię Monika i opowiem Wam swoją historię – bez upiększeń i bez cenzury.

Po trzydziestce zorientowałam się, że moje życie wygląda lepiej z zewnątrz niż od środka.

Pracę mam dobrą, ale szef lubi sypać obleśnymi tekstami. Mój specyficzny mąż przejawia dość dziwny fetysz, o którym przeczytacie później. Jedyne, czego możecie mi pozazdrościć, to przyjaciółki – oddane, zabawne i szczerze.

Gwarantuję śmiech, łzy i seks. Taki, co daje bliskość – i taki, po którym zostaje tylko konsternacja.

To książka o kobietach ratujących się nawzajem, kiedy reszta świata zawodzi.

I na koniec mała prośba: nie dawajcie tej książki do przeczytania swoim facetom – niech lepiej nie wiedzą, co tak naprawdę o nich myślimy...

Zajrzyj do naszego sklepu: www.ostre-pioro.pl